Proces w Żywcu jak u Kafki

Sądownictwo.

Wszystkim, którzy sądzą, że z polskim sądownictwem jest coraz lepiej, polecamy historię śledztwa i kuriozalnego wyroku żywieckiego sądu. Ta sprawa - ku przestrodze - powinna trafić do podręczników dla studentów prawa.

Ta historia bardziej pasuje do scenariusza hollywoodzkiego thrillera prawniczego á la John Grisham niż do naszej rzeczywistości. Mamy kierującego do sądu absurdalny akt oskarżenia. Mamy innego prokuratora, który dociera do prawdy, a mimo to ponosi porażkę. Są bankowcy tworzący fikcyjne dowody przeciwko jednemu ze swoich klientów. Jest wreszcie sąd, który wbrew elementarnej logice decyduje się pogrążyć ofiarę przestępstwa. Co różni tę historię od hollywoodzkich opowieści? Nie ma w niej happy endu.

31 lipca Sąd Rejonowy w Żywcu przeszedł do historii polskiego wymiaru sprawiedliwości. Tego dnia skazał Jerzego Jachnika za oszustwo na rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Mimo że oskarżający Jachnika prokurator już w trakcie procesu odkrył kulisy gigantycznej manipulacji, po czym wycofał się z zarzutów i przez ponad dwie godziny demaskował w mowie końcowej misterną intrygę. A jednak został zignorowany. Sąd wiedział swoje.

Żeby dobrze zrozumieć tę sprawę, trzeba cofnąć się o 11 lat. W nocy 20 maja 1995 roku niedaleko Cieszyna pod koła cinquecento wpada bielski archeolog Stanisław Pawłowski. Ginie na miejscu. Za kierownicą samochodu siedział szef prokuratury w Cieszynie Zbigniew Twardziewicz (nazwisko zmienione). Sprawa od początku budzi wiele wątpliwości. Policjanci, którzy zjawili się na miejscu wypadku, przestawiają samochód, przenoszą ciało zmarłego, nie zabezpieczają śladów, a na zbadanie krwi kierowcy decydują się dopiero po trzech godzinach, kiedy alkomat wykazuje zaledwie 0,4 promila. Prokurator tłumaczy się, jak każdy pragnący uniknąć odpowiedzialności sprawca, że po wypadku wypił dwa łyki wódki, czego jednak żaden z towarzyszących mu przez cały czas policjantów nie zauważył. Musi minąć aż dziewięć lat, by sąd znalazł biegłych, którzy wydadzą opinię, ile alkoholu we krwi mógł mieć Twardziewicz w chwili wypadku. Specjaliści z krakowskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych nie mają wątpliwości: prokurator miał powyżej 0,5 promila, a więc był pod wpływem alkoholu.

W tym czasie z procesem dzieją się dziwne rzeczy. Najpierw trudno znaleźć sąd, który chciałby w ogóle zająć się tą sprawą. Kiedy w końcu trafia ona do Dąbrowy Górniczej, toczy się wyjątkowo ślamazarnie. Przez ten czas Twardziewicz spokojnie pracuje. Co prawda przestaje być szefem prokuratury w Cieszynie, ale obejmuje w zamian prestiżową funkcję prokuratora Prokuratury Okręgowej w Bielsku-Białej. Jego proces jest przerywany trzykrotnie, aż w sierpniu 2002 roku zapada wyrok uniewinniający. Sąd twierdzi, że z powodu błędów policjantów trudno odtworzyć prawdziwy przebieg wypadków. Ale sprawa stała się już na tyle głośna w mediach, że nadzorem obejmuje ją Ministerstwo Sprawiedliwości. Odwołanie od wyroku przynosi skutki, proces rozpoczyna się na nowo, pojawia się ekspertyza biegłych i po dziewięciu latach Twardziewicz zostaje skazany na półtora roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Po apelacji katowicki sąd podwyższa werdykt o pół roku. Nie orzeka jednak wydalenia Twardziewicza z prokuratury, choć w uzasadnieniu pisze wyraźnie: "Oskarżony swoją postawą wykazał, że dalsze zajmowanie przez niego powyższego stanowiska zagraża ochronie praworządności".

Ministerstwo składa wniosek o kasację i domaga się orzeczenia wydalenia Twardziewicza z prokuratury. Sąd Najwyższy przychyla się do wniosku, sprawa trafia znowu do Katowic. I tu staje się rzecz niezrozumiała. Inny skład sędziowski już nie widzi w prokuratorze zagrożenia dla systemu egzekucji prawa. 1 września sędzia Manfred Lazarek wystawia laurkę Twardziewiczowi, twierdząc, że przez ostatnie 11 lat przykładnie wykonywał swoje obowiązki. Odmawia usunięcia go z

prokuratury. W efekcie skazany prawomocnym wyrokiem Twardziewicz nadal pracuje, sam stawia zarzuty innym i pisze akty oskarżenia.
Ale ten werdykt sądu to tylko wstęp do innej bulwersującej historii z Twardziewiczem w tle. W tej opowieści ofiarą jest Jerzy Jachnik (57-letni inżynier, właściciel nowoczesnego zakładu ślusarskiego), człowiek, który przez sześć lat pomagał rodzicom przejechanego archeologa. To jego upór: nagłośnienie sprawy w mediach, interwencja w Transparency International oraz u Rzecznika Praw Obywatelskich, opłacenie państwu Pawłowskim adwokata, pomoc w zredagowaniu pism kierowanych do prokuratury, sądu i ministerstwa - przesądził, że sprawy Twardziewicza nie udało się zamieść pod dywan.

Jachnik zaangażował się w sprawę Twardziewicza na początku 2001 roku. Traf chciał, że właśnie w tym czasie w Prokuraturze Rejonowej w Bielsku toczyło się postępowanie w związku z rzekomym oszustwem, jakiego miał się dopuścić Jachnik. I choć prowadzący sprawę prokurator dwukrotnie je umarzał, za każdym razem polecano mu je kontynuować. Decyzje podpisywał nadzorujący śledztwo z ramienia prokuratury okręgowej... Zbigniew Twardziewicz.
Sprawa rzekomego oszustwa ma swój początek w 1993 roku, kiedy Jachnik zatrudnia się w firmie Jana Niemczyckiego, importującej włoskie wina. Jako że właściciel ma problemy finansowe, a Jachnik po trzech latach spędzonych we Włoszech dysponuje dużymi oszczędnościami, decyduje się pożyczyć mu kilkakrotnie spore sumy. 18 maja 1994 roku obaj panowie podsumowują powstałe zobowiązania i podpisują umowę pożyczki. Właściciel firmy jest winny Jachnikowi w sumie 38 tys. dolarów.
- Do dziś tych pieniędzy nie odzyskałem - twierdzi Jachnik. - Zwodził mnie latami, proponował nawet zwrot długu w postaci udziałów w firmie, ale nigdy nie wywiązał się z obietnicy. Pod koniec 1999 r. postanowiłem iść z tą sprawą do sądu.

Kiedy Jachnik uzyskał sądowy nakaz zapłaty, właściciel firmy winiarskiej przystąpił do kontrataku. Przez adwokata zawiadomił sąd, a potem prokuraturę w Bielsku o próbie oszustwa. Choć nie miał pokwitowania spłaty długu, twierdził, że Jachnik już w tydzień po spisaniu umowy odebrał całą sumę, oddał oryginał umowy, po czym zgłosił się z pieniędzmi do bielskiego oddziału Banku Śląskiego, gdzie wpłacił je na konto.
- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego prokuratura zaangażowała się w tę sprawę. To był klasyczny spór między stronami umowy, który powinien rozstrzygnąć sąd cywilny - uważa prof. Zbigniew Ćwiąkalski z Katedry Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego.
A jednak prokuratura rozpoczęła własne postępowanie. I to pomimo że właściciel firmy nagle zmienił wersję wydarzeń. Okazało się bowiem, że Jachnik nie mógł przyjąć od niego pieniędzy 24 maja, ponieważ leżał w szpitalu. Kiedy fakt ten wyszedł na jaw, pojawiła się nowa wersja, w której to nie Jachnik odbierał pieniądze, ale jego żona. Prowadzone przez prokuratora Marka Sośnickiego (nazwisko zmienione) śledztwo było jednak bardzo dziwne. O decyzjach podejmowanych przez niego zawczasu wiedział adwokat Niemczyckiego Jan Miszurski (nazwisko zmienione). Choć sprawę wszczęto dopiero 28 kwietnia 2000 r., Miszurski już 10 dni wcześniej pisał o tym w piśmie do sądu cywilnego, wnosząc o zawieszenie postępowania do czasu wyjaśnienia sprawy karnej. Mało tego, choć Jachnikowi dopiero 31 sierpnia postawiono zarzut oszustwa, adwokat pisał o tym fakcie do sądu cywilnego już dzień wcześniej.
Ostatecznie jednak prokurator Sośnicki postanowił umorzyć sprawę przeciwko Jachnikowi. Uznał, że wyjaśni ją sąd cywilny, który jako pierwszy zajmował się długiem. I kiedy historia wydawała się zakończona, w sprawę włączył się Twardziewicz. Pół roku po umorzeniu rozpatrzył zażalenie adwokata Niemczyckiego i nakazał Sośnickiemu kontynuować śledztwo. Sośnicki wykonał polecenie, po czym zawiesił śledztwo do zakończenia sprawy cywilnej. I znowu Twardziewicz

uchylił to postanowienie. Sośnicki ponownie wszczął postępowanie i znowu je umorzył. Twardziewicz jednak nie dał za wygraną i nakazał po raz kolejny je wznowić.
Wtedy Jachnik postanawił zagrać va banque. Napisał skargę na Twardziewicza do ministra sprawiedliwości (wtedy Barbary Piwnik) i przypomniał historię wypadku. Złożył też wniosek o wyłączenie Twardziewicza ze swojej sprawy, także w nim pisząc o procesie karnym prokuratora. Efekt był przeciwny do zamierzonego. Prokuratura przyspieszyła. 18 grudnia 2001 r. Sośnicki na polecenie Twardziewicza złożył w sądzie akt oskarżenia.
Kilka dni wcześniej Sośnickiego odwiedził Jachnik, uzbrojony w magnetofon. Nagranie z tej rozmowy jest kompromitujące dla Sośnickiego. Oto jego fragment:
Prokurator: - Sporządzając akt oskarżenia, ja po prostu przepiszę uzasadnienie prokuratora Twardziewicza.

Jachnik: - Czyli rozumiem, że pan się w tym momencie nie kieruje swoim rozumem i etyką, tylko poleceniem prokuratora Twardziewicza?
Prokurator: - Ja jestem związany orzeczeniem, orzeczeniem instancyjnym, z którego wynika taka decyzja.
Jachnik: - W takim razie jeden szczebel prokuratury jest niepotrzebny, bo jak takie jest polecenie, to nic by nie zaszkodziło, żeby to samo napisał pan Twardziewicz.

Prokurator: - Ale pan Twardziewicz tego napisać nie mógł, bo postępowanie prowadzi prokuratura rejonowa.
Sośnicki sporządzając akt oskarżenia wykorzystał jeden bardzo ważny element. Było nim pismo z Banku Śląskiego. Pismo, które zapoczątkowało ciąg nieprawdopodobnych wręcz wydarzeń. Ale po kolei.
Jeszcze przed postawieniem pierwszych zarzutów Jachnikowi prokurator Sośnicki wystąpił do Banku Śląskiego o ujawnienie wszystkich wpłat dolarowych, jakich w 1994 r. dokonał na swoje konto Jachnik. Chciał w ten sposób sprawdzić wersję o zatrzymaniu fałszywego banknotu Jachnikowi. Odpowiedź była podejrzanie szybka. Już następnego dnia ówczesny dyr. bielskiego oddziału banku, Janusz Martyniak (nazwisko zmienione), przysłał pismo. Nie odpowiedział jednak na pytanie prokuratora o transakcje Jachnika, ale udzielił informacji na temat jego żony Janiny. Co ciekawe, odpowiedź dotyczyła tylko jednego zdarzenia: wpłaty 38 tys. dolarów, jakiej miała rzekomo dokonać żona Jachnika 27 maja 1999 r. Pojawiła się też druga informacja, z której wynikało, że tego samego dnia, czyli tuż po operacji chirurgicznej, Jerzy Jachnik opuścił potajemnie szpital i pojawił się w banku, gdzie kasjerka zatrzymała mu 100 dolarów, podejrzewając, że banknot nie jest autentyczny. Pismo z banku było przekonywające. Może nie były to niezbite dowody oddania długu, ale co najmniej mocne poszlaki.
Kłopot w tym, że dyr. Martyniak napisał nieprawdę. Jachnikowi nie zatrzymano fałszywki - bank zmuszony był wycofać się z tej informacji. Nie rozbiło to jednak scenariusza prokuratury. Ostał się bowiem jeszcze jeden hak na Jachnika, czyli rzekome potwierdzenie wpłaty 38 tys. dolarów na konto żony.
Nikomu w prokuraturze nie wydało się podejrzane, dlaczego bank pytany o Jachnika i jego wpłaty za cały rok złamał prawo bankowe i udzielił informacji na temat jego żony, wobec której nie toczyło się żadne postępowanie. W dodatku napisał tylko o jednej wpłacie, tak jakby wiedział, jakiej informacji oczekuje prokuratura. Nikt nie zastanowił się nad tym, że rzekomy dowód wpłaty w rzeczywistości był niepotwierdzoną przez nikogo kserokopią. Nikt też nie zwrócił uwagi, że pracownicy banku nie są w stanie dotrzeć do oryginału tego dokumentu, twierdząc, iż zgodnie z prawem zniszczyli go po pięciu latach. Nikt nie zapytał, jakim cudem i w jakim celu uchowało się w takim razie to tajemnicze ksero.
Jednak prokuraturze niepotrzebne były te wątpliwości. Miała ksero z banku i postanowiła je

wykorzystać. Tak samo jak zeznania świadków, choć niemal z każdym kolejnym przesłuchaniem w prokuraturze, a potem w sądzie, zmieniali oni wersje wydarzeń. Pasierb właściciela firmy winiarskiej, cierpiący zresztą na chorobę alkoholową, raz twierdził, że był świadkiem oddawania długu żonie Jachnika, to znów zeznawał, że sprawę zna tylko ze słyszenia.
Na te wszystkie absurdy zwrócił uwagę dopiero prokurator Mateusz Wolny, który po przeniesieniu Sośnickiego do Oświęcimia i wyłączeniu się z procesu kolejnego prokuratora przejął sprawę w ubiegłym roku. Wolny postanowił zbadać sprawę tajemniczej kserokopii. Napisał wniosek do banku o ujawnienie wszystkich informacji związanych z rachunkiem Grażyny Jachnik, po czym podał numer widniejący na kserokopii rzekomego dowodu wpłaty. 6 czerwca 2005 r. z departamentu prawnego Banku Śląskiego przyszła odpowiedź. Wynikało z niej, że Grażyna Jachnik nie była posiadaczem takiego rachunku! A więc ktoś, kto spreparował ksero z podpisem Jachnikowej, wpisał nieprawidłowy numer konta.
Jachnikowa sama nie zauważyła, że na kserokopii jest zły numer, bo w październiku 1994 r., już po rzekomej wpłacie, Bank Śląski w związku ze zmianą systemu informatycznego zmienił także numery kont swoich klientów. W chwili rozpoczęcia śledztwa w 2001 r. konto pani Jachnik miało już zupełnie inny numer i kobieta nie pamiętała wcześniejszego numeru sprzed sześciu lat. Dopiero po szokującym oświadczeniu banku, że konto z kserokopii nie należy do niej, odnalazła stary wniosek o otwarcie rachunku. I rzeczywiście, okazało się, że przed październikiem 1994 roku jej konto miało inny numer niż ten widniejący na kopii. Ksero musiało więc być fałszywką.

Kiedy prokurator Wolny przeanalizował cały materiał dowodowy, zrozumiał, że akt oskarżenia sporządzony przez Sośnickiego nie trzyma się kupy. Zainteresował się dyrektorem banku, bez którego pisma nie dałoby się oskarżyć Jachnika, i postawił mu zarzut tworzenia fałszywych dowodów.
Przesłuchiwani przez Wolnego, a potem w sądzie koledzy Martyniaka z banku (on sam już tam nie pracuje) starali się dowieść, że konto, które - jak się okazało - nie jest kontem Jachnikowej, jednak nim jest. Wdali się przy tym w tak skomplikowane dywagacje, że się w nich pogubili. Na przedostatniej rozprawie prokurator Wolny zażądał, by sąd "zakończył tę farsę" i uniewinnił Jachnika. Zaś na koniec procesu wygłosił ponaddwugodzinną mowę, w której nie pozostawił suchej nitki na pracownikach banku, usiłujących wybielić Martyniaka. Mówił wprost: "Całe to towarzystwo jest powiązane i nie spodziewajmy się, proszę Sądu, że któryś z tych ludzi cokolwiek powie na swojego długoletniego kolegę".
W mowie końcowej Wolny wyraźnie zaznaczył, że nie jest w stanie rozstrzygnąć, czy długu został zwrócony, czy też nie. Przeciwko Jachnikowi świadczyło przede wszystkim to, że o pieniądze upomniał się dopiero 5,5 roku po pożyczce. Jednak z drugiej strony scenariusz zwrotu 38 tys. dolarów, przedstawiony przez świadków, okazał się nieprawdziwy, a więc nie mógł być podstawą skazania. Na dodatek wyszło na jaw, że oskarżający go właściciel winiarni ma poważne problemy z prawem, co osłabiło siłę jego zeznań (w innej sprawie prokuratura zarzuciła mu sięgające 14 mln złotych wyłudzenia kredytów z banków i towarów od dostawców, a jeden z jego wierzycieli skarżył się, że gdy zażądał od niego zwrotu miliona złotych długu, ten miał go rzekomo straszyć swoimi układami w prokuraturze).

---
31 lipca w sądzie w Żywcu zapadł wyrok. Mimo wniosku prokuratura o uniewinnienie Jachnik został skazany. Sąd uznał za prawdziwą kopię rzekomej wpłaty 38 tys. dolarów.
- Niezwykle rzadko się zdarza, by prokurator składał wniosek o uniewinnienie oskarżonego. Jednak pierwszy raz spotykam się z przypadkiem, by sąd pomimo takiego stanowiska prokuratury wydał wyrok skazujący. I na dodatek nie odniósł się w uzasadnieniu do bardzo szczegółowej argumentacji prokuratora - mówi prof. Zbigniew Hołda, karnista, ekspert Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.
Prokurator Twardziewicz odmówił rozmowy z "Newsweekiem". Od jego znajomych wiemy, że

kategorycznie wypiera się, by w 2001 r. wiedział cokolwiek o związkach Jachnika z rodzicami zmarłego archeologa.
Po interwencji "Newsweeka" Jerzy Zientek, dyr. Biura Postępowania Przygotowawczego w Ministerstwie Sprawiedliwości, zlecił Prokuraturze Apelacyjnej w Katowicach objęcie kontrolą wszystkich działań prokuratury, jakie zostały podjęte w sprawie Jachnika.

wyjaśnienie od autora:
W artykule "Proces w Żywcu jak u Kafki" znalazł się błąd. Napisałem, iż rzekoma wpłata na konto Janiny Jachnik miała nastąpić 27 maja 1999 r. Oczywiście chodzi o rok 1994, co zresztą wyraźnie widać na zamieszczonej przy tekście fotokopii ksera "dowodu wpłaty". Wynika to również z dalszej treści artykułu. Za zaistniałą pomyłkę bardzo przepraszam.

ZAŁ3

ING BANK ŚLĄSKI

Departament Prawny
Dyrektor

Katowice, 6.06.2005
630/1513 /05/SS

Pan
Mateusz Wolny
Prokurator
Prokuratury Rejonowej
ul. Sobieskiego 9
43-300 Bielsko - Biała

Sygn. akt II 4 Ds. 1034/05/MW

W nawiązaniu do pkt 2 lit a) postanowienia Prokuratora z dnia 13-05 br informujemy, iż Grażyna Jachnik nie była posiadaczem rachunku bankowego o numerze 310604-683-115-152-1787. W związku z powyższym, zważywszy na wymóg przestrzegania tajemnicy bankowej, przedmiotowe postanowienie nie może być wykonane przez Bank w w/w zakresie.

Bank Śląski w Katowicach. I O/Bielsko-Biała, dnia 27.05.94

Numer żetonu (351)

Posiadacz rachunku: Grażyna Jachnik Bielsko-B. ul. Zuchów 14

WPŁATA NA RACHUNEK NR 310604— 83715-152-1787

Symb. waluty	Nazwa waluty	Kwota waluty	Tab. kurs	Symb. waluty	Symb. oper.	Nr kasy
USD	dolar amer.	38 000				

Podpis wpłacającego Jachnik

Stempel kasy